



Andrzej Tarczyński, „Podbój imperiów Inków i Azteków”, Bellona, Warszawa 2009, ss. 358.

Andrzej ULMER

Muzeum Politechniki Warszawskiej

Książka Andrzeja Tarczyńskiego pt. *Podbój imperiów Inków i Azteków* ukazała się w 2009 roku nakładem wydawnictwa Bellona. Książka ma 357 stron, 16 stron kolorowych ilustracji, 4 mapy oraz 77 pozycji bibliograficznych, w tym 39 pozycji źródłowych i 38 opracowań ogólnych. Składa się z dziewięciu rozdziałów opisujących w kolejności chronologicznej i według porządku geograficznego etapy podboju Nowego Świata przez hiszpańskich konkwistadorów. Ostatni rozdział jest poświęcony działalności Portugalczyków w Brazylii.

We wstępie autor dał uzasadnienie, dlaczego podjął się napisania tej pracy. Otóż jego zdaniem w literaturze polskiej czy też polskojęzycznej brakuje opracowania monograficznego przedstawiającego całościowo proces podboju odkrytych ziem na półkuli zachodniej przez Hiszpanów w XVI wieku. Jest to z pewnością słuszne spostrzeżenie a zarazem właściwe uzasadnienie faktu napisania książki. Andrzej Tarczyński uważa, iż w języku polskim istnieje tylko jedna książka na omawiany temat. Jest to praca brytyjskiego autora Fredericka Alexandra Kirkpatricka pt. *Zdobywcy Ameryki*, która swe ostatnie polskie wydanie miała około 50 lat temu. Jak sugeruje Tarczyński należało udostępnić polskiemu czytelnikowi nowszą prezentację tej problematyki. Z całą pewnością jest to prawidłowe myślenie a Andrzej Tarczyński dzięki swojej książce stał się pierwszym polskim autorem, który podjął się tego trudnego zadania.

Pomimo że książka ukazała się już ponad pięć lat temu, jest to pozycja wciąż dostępna w niektórych księgarniach warszawskich (np. w księgarni taniej książki przy ul. Koszykowej), a oprócz tego ciągle aktualna, więc warto się nad nią zastanowić.

Niestety należy zauważyć, że lektura „Podboju imperiów Inków i Azteków” pozostawia spory niedosyt i wywołuje wiele kontrowersji. Praca ma różne mankamenty i odnosi się wrażenie, że została napisana pod pewnym nachyleniem, przed którym autor nie przestrzegł czytelnika. Przede wszystkim rzuca się w oczy rozbieżność między tytułem a zawartością książki. Tytuł sugeruje, że otrzymamy

dzieło omawiające podbój Meksyku przez Hernana Cortesa i zdobycie Peru przez braci Pizarro, z jednoczesną prezentacją cywilizacji Azteków i Inków, uwzględniającą ich cechy szczególne, jak to w swych niezapomnianych dziełach uczynił William H. Prescott. Jednakże nic takiego nie ma miejsca. Na temat Azteków napotykamy na stronie 94 jeden akapit oraz kilka wzmianek w tekście i przypisach przekazujących, nie zawsze poprawne z naukowego punktu widzenia, informacje. Na pewno zainteresowany, lecz słabo zorientowany w tej tematyce czytelnik niewiele z tej lektury wyniesie. Ten sam zarzut dotyczy rozdziału o Inkach, którym autor poświęcił dwie strony (136-137) koncentrując się na wojnie domowej, jaka rozegrała się w Tahuantinsuyu na krótko przed przybyciem oddziału pod dowództwem Francisca Pizarra. Poza tym, w tekście i przypisach pojawia się tylko kilka niepowiązanych ze sobą wzmianek na temat tej prekolumbijskiej cywilizacji. Po tytule książki można by oczekiwać barwnego opisu dokonań najeźdźców i reakcji Indian, ale nic takiego nie następuje. Czytelnik w pracy Tarczyńskiego napotyka raczej pobieżną narrację, w której tak ważne wydarzenie, jak powstanie Manco Inki Yupanqui zostało opisane w dwóch akapitów na stronach 157 i 158. Właściwie nie wiadomo, z jakiego powodu to powstanie wybuchło, dlaczego Manco Inka próbował uciec z Cuzco, na czym polegały zmagania i co zadecydowało o takim, a nie innym wyniku. Zamiast tego autor szeroko, na dziesięciu stronach, opisuje wojny domowe między zdobywcami w Peru. Nie jest zrozumiała taka selektywna asymetria opisywanych zdarzeń. Pobieżność narracji na temat Meksyku i Peru, pomimo jej selektywności, można wytłumaczyć zamiarem autora przedstawienia procesu konkwisty Ameryki w dużo szerszej skali przestrzennej. Jednakże realizacji takiego zamiaru powinien towarzyszyć zupełnie inny tytuł, np. *Dokonania hiszpańskich konkwistadorów w Ameryce w XVI wieku*. Można zrozumieć, że wybrany przez Andrzeja Tarczyńskiego tytuł ma charakter marketingowy, jednakże eksponowanie elementu marketingowego przed merytorycznym nie zawsze jest dobre.

Wzmiankowana powyżej selektywna asymetria polegająca na zmarginalizowaniu powstania Indian w Peru w 1536 roku i wyeksponowaniu konfliktów między Hiszpanami wiąże się z nachyleniem narracji autora w całej książce. Otóż gdy czytamy rozdziały poświęcone podbojowi Ameryki Środkowej (republiki bananowej), Wenezueli, Chile, wypraw na obszar obecnych Stanów Zjednoczonych, spotykamy się ze zdumiewającym zbagatelizowaniem problemu tubylczych kultur z obszarów penetrowanych i podbijanych. Należy jednak zauważyć, że Indianie z Nikaragui, Paragwaju, Chile czy Florydy znacznie różnili się między sobą pod względem języków, wierzeń, gospodarki i organizacji społecznej. Rzetelna narracja pole-

gałaby na chociaż krótkim zindywidualizowaniu poszczególnych grup indiańskich wchodzących w kontakt z białymi, tymczasem w książce Tarczyńskiego brak tego aspektu. Indianie, niezależnie od szerokości geograficznej, pod którą zamieszkiwali są dla autora tylko bezbarwną, bezkształtną, pasywną masą, na której tle dopiero biali zdobywcy dokonują czynów niezwykłych. Gdy zaś czytamy o bezpośrednich relacjach konkwistadorów z tubylcami, spotykamy się ze stwierdzeniami kontrowersyjnymi. Na stronie 93 autor wzmiankuje o słynnej rzezi dokonanej przez ludzi Cortesa w Choluli w 1519 roku. Píše tak: „Trzeba pamiętać, że dla Hiszpanów ten atak był jedynym możliwym rozwiązaniem dramatycznego dylematu – zwyciężyć czy zginąć (istnienie przygotowywanej zasadzki stwierdzono ponad wszelką wątpliwość)”. Mamy tu usprawiedliwienie białych i niejako oskarżenie Azteków o zorganizowanie zasadzki. Fakt, że Aztekowie mieli prawo się bronić przed chciwymi złota, agresywnie zachowującymi się przybyszami dla Tarczyńskiego nie istnieje. Na stronie 62 spotykamy się z opisem działań Vasco Nuñeza de Balboa na Przesmyku Panamskim w 1513 roku: „... Balboa nakazał wypuścić psy, które rozszarpały tak kacyka Pacrę, jak i trzech dostojników, w których towarzystwie przybył on na spotkanie z Hiszpanami, a trupy spalono”. By usprawiedliwić ten czyn Tarczyński powołuje się na znanego z niechęci i pogardy dla Indian Gonzala de Oviedo, który informuje, że kacyk ten był wyjątkowym rozpustnikiem i że miał trzy lub cztery kobiety, z którymi współżył w sposób przeciwny naturze. Posłużenie się pikantnymi opowieściami stroniczego kronikarza Oviedo jako usprawiedliwieniem okrucieństwa Balboya przez Andrzeja Tarczyńskiego jest niepokojące. Ilustruje bowiem, że zarówno Oviedo w XVI wieku, jak Tarczyński w XXI wieku wykazują ten sam brak wiedzy, wyobraźni i zrozumienia dla innych kultur. Jednocześnie w książce *Podbój imperiów Inków i Azteków* nie znajdziemy krytyki sprzecznych z chrześcijańską moralnością i niezwykle okrutnych praktyk konkwistadorów. Brak więc informacji o tym, jak Gonzalo Pizarro poniżał Mano Inkę zabierając mu przemocą żony i siostry, by później używać sobie z nimi wedle seksualnej zachcianki. Kura Ocello, żona Manco Inki została zgwałcona przez Gonzala, a kilka lat później brutalnie zamordowana na rozkaz Gonzala i Francisca Pizarrów. Brakuje informacji o tym, jak Alonso de Alvarado gwałconym indiańskim kobietom kazał obcinać piersi. Nie ma też wzmianki o masakrze na Hispanioli i zamordowaniu Anacaony, pokojowo nastawionej władczyni kacykatu Xaragua, przez namiestnika Nicolasa de Ovando. Widocznie dla Tarczyńskiego takie zachowania zdobywców są zgodne z obowiązującą w Europie moralnością, zaś zachowania kacyka Pacry, mieszczące się w tubylczej obyczajowości, są naganne...

Autor omawianej książki nie weryfikuje informacji przekazywanych w pismach konkwistadorów, co jest obowiązkiem historyka, zwłaszcza w sytuacjach tak drastycznych, jak podbój czy likwidacja danej cywilizacji. Przykładem jest, zreferowane na stronach 108-109, zniszczenie Gumarkaaj-Utatlan, stolicy Majów-Quiche przez grupę Pedra de Alvarado. Tonatiuh w jednym z listów oskarża Majów jakoby knuli przeciw niemu podstęp polegający na zwabieniu Hiszpanów do miasta i nagłym go podpaleniu, celem zniszczenia przybyszów. Otóż raporty z wykopalisk w Gumarkaaj-Utatlan wskazują, że miasto to było położone na wzgórzu, miało bardzo gęstą zabudowę i dostęp tylko od strony południowo-wschodniej. Miało mury wspornikowe od strony urwisk, brakowało mu jednak umocnień, jakich istnienie sugeruje Alvarado, a głównym elementem obronnym tego ośrodka było jego położenie. W związku z tym każdy, kto oglądał plany stolicy Majów-Quiche lub był tam fizycznie z łatwością zauważy, że opowieści Alvarada o zamiarach podpalenia miasta i usmażenia w nim Hiszpanów to kompletna brednia. W warunkach ciasnej zabudowy, gęstego zaludnienia i jednej drogi dostępu wszelki pożar byłby bardziej destrukcyjny dla mieszkańców miasta niż dla grupy zdobywców. Andrzej Tarczyński nie zadaje sobie trudu głębszej analizy opisywanych wydarzeń. Ślepo wierzy w opowieści dowódcy konkwistadorów, który ponoć przejrzał podstęp w wypowiedziach jakiegoś dostojnika Majów i w związku z tym musiał spalić miasto, ograbić je i wyrznąć jego mieszkańców.

Wszystkie powyższe przykłady świadczą o tym, że autor pisze z wyraźnym nachyleniem, zawsze i bezkrytycznie, na korzyść białych przybyszów. Atakuje też bezlitośnie tych Hiszpanów, którzy w jakiś sposób usiłovali bronić tubylców. Tak więc Bartolomé de las Casas, według Tarczyńskiego, „chętnie idealizuje Indian” (str. 62), czyli w domyśle – opinii biskupa Chiapas nie warto brać pod uwagę, bo przesadza. Wyjątkową chłostę słowną otrzymuje Gonzalo Guerrero, hiszpański żołnierz lub marynarz, weteran wojen włoskich, który jako rozbitek znalazł się w 1511 roku na Jukatanie. Przyjęty do społeczności Majów, założył rodzinę i wysoko awansował w hierarchii społecznej. Przypuszczalnie nazywał się Gonzalo de Aroza lub Aroca. Do historii przeszedł jako Gonzalo Guerrero lub Marinero. Tak dalece odnalazł się wśród Indian, że czynnie walczył po ich stronie z konkwistadorami. Zginął w bitwie z Hiszpanami w 1536 roku. Taką postawą naraził się na ostry atak Tarczyńskiego, który zarzucił mu chęć przetrwania i brak zasad oraz pochodzenie z nizin społecznych (str. 88). Wątpliwej jakości to argumenty, bowiem Gonzalo Guerrero nie był jedynym białym w dziejach podboju Nowego Świata, który opuścił europejską cywilizację i wybrał życie wśród Indian. Problematyczna też jest

kwestia zasad, jakich ponoć brakowało Gonzalowi de Aroza. Powstaje bowiem pytanie, jakimiz zasadami kierował się Cortés skazując na tortury Cuauhtemoka, by wydobyć z niego zeznania o ukrytych skarbach, czy też Gonzalo Jiménez de Quesada praktykujący to samo z władcą Muisków Saquesazipą. Co przyświecało Nuñowi Beltranowi de Guzmán, łowcy niewolników, którego okrucieństwo szokowało nawet niektórych Hiszpanów. Istnieje więc pewna hierarchia i gradacja zasad, w które, jak widać, Tarczyński nie wniknął.

Oskarżenie o pochodzenie z nizin jest wręcz komiczne. Z łatwością można wykazać, że podboju Ameryki dokonali w dużej mierze ludzie gminu, często na siłę próbujący się nobilitować. Andrzej Tarczyński, ze względu na swoje zainteresowania badawcze, powinien to wiedzieć. Po odkryciu Kolumba, do Nowego Świata nie udał się żaden członek rodziny królewskiej, żaden książę krwi, wysokiej rangi dowódca wojskowy i bardzo nieliczni arystokraci (chory wenerycznie Pedro de Mendoza był jednym z wyjątków), a reszta to przegląd raczej niższych warstw społecznych, od drobnej szlachty poprzez chłopów do kryminalistów. Sebastián de Belalcázar, czy raczej Sebastián Moyano był wieśniakiem pochodzącym z rejonu Gafik, w okolicach Kordoby. Arabska nazwa miejsca i świadectwa bytności wyznawców islamu na tych obszarach w XV i XVI wieku mogą wskazywać, że niedaleki przodek tego konkwistadora był muzułmaninem, który przeszedł na chrześcijaństwo. Z chłopstwa, choć bogatszego, wywodził się Francisco de Carvajal zwany Demonem Andów. Diego de Almagro był nieślubnym synem Juana de Montenegro i Elviry Gutiérrez. Porzucony przez rodziców, dzieciństwo spędził na wsi w skrajnej biedzie. Później młodym Diego zajął się wuj, który jednak pastwił się nad nim okrutnie. Nazwisko Almagro wzięło od nazwy miejscowości, gdzie się urodził. Francisco Pizarro, zdobywca Peru był owocem grzesznej miłości jego ojca, kapitana piechoty z garderobianą swojej ciotki. Ojciec pozostawił mu nazwisko i nic poza tym. Podobno w majątku ojca pasła świnia. Nawet gdy otrzymał od cesarza tytuł markiza, nie nauczył się czytać i pisać. Rodrigo de Orgóñez był synem żydowskiego szewca-konwertyty. Nazwisko Orgóñez zawłaszczył od pewnego arystokraty, któremu później usiłował wmówić, że jest jego krewnym. Żaden z tych ludzi, w przeciwieństwie do Gonzala Guerrero, nie otrzymał od Tarczyńskiego zarzutów o brak zasad, walki o przetrwanie i niskiego pochodzenia. Rzecz ciekawa, że jakby na przekór Tarczyńskiemu, współcześni Meksykanie cenią Gonzala Guerrero. Ma on swój pomnik w stanie Quintana Roo.

Jeśli chodzi o bazę źródłową pracy Andrzeja Tarczyńskiego, warto zauważyć, że z upodobaniem powołuje się on na wrogiemu Indianom Ovieda, podczas gdy

kronikarze hiszpańscy z XVI wieku, o wielkiej erudycji i życzliwi tubylcom, tacy jak Bernardino de Sahagún, Jerónimo de Alcalá czy Juan de Betanzos nie istnieją w omawianej książce. Szczególnie rażący jest brak jakiegokolwiek odniesienia do pracy ojca Bernardino. Jego dzieło pt. *Historia general de las cosas de Nueva España*, w XII księdze dotyczy podboju Meksyku. Jest tam narracja anonimowego azteckiego arystokraty, który przeżył masakrę ludu Mexica, dokonaną przez żołnierzy Cortesa i ich indiańskich sojuszników. Ta właśnie opowieść została przetłumaczona na język polski przez Tadeusza Milewskiego i wydana nakładem Wydawnictwa Ossolineum w 1959 roku pt. *Zdobycie Meksyku*. Prezentuje ona azteckie spojrzenie na konkwistę i jest niezwykle ważną pozycją dla historyków i archeologów zajmujących się tą problematyką. Dodatkowym argumentem, obligującym do odniesienia się do tej części dzieła Sahaguna, jest jego dostępność w języku polskim. Jak łatwo się domyślić, Tarczyński nie uwzględnił tego tekstu źródłowego w swojej książce i nie wiadomo, czy jest on mu znany. Podobnie skazani na milczenie są tacy kronikarze indiańscy, jak Fernando de Alva Ixtlilxochitl, Hernando de Alvarado Tezozomoc, Pachacuti Yamqui Salcamayhua, Huaman Poma de Ayala. Jest to zgodne z nastawieniem autora, że indiański głos w procesie konkwisty się nie liczy.

Ciekawy też jest dobór ilustracji w omawianej pracy. Otóż na około 40 fotografii, zaledwie sześć dotyczy Ameryki indiańskiej; pozostałe to fotografie pomników konkwistadorów i budowli kolonialnych.

Reasumując, wszystko co powyżej zostało powiedziane (jednostronne opisy zdarzeń i osób, jednostronny dobór bazy źródłowej, jednostronny dobór ilustracji, przemilczenia i pominięcia), należy stwierdzić, że Andrzej Tarczyński napisał książkę wysoce tendencyjną, która przedstawia zafałszowany i mocno okrojony obraz podboju Ameryki. Na stronie 347 autor niejako uzasadnia swoją postawę pisząc: „Niedorzecznością byłoby wymaganie od dowódców i członków wypraw zdobywczych sprzed kilku wieków postawy, jaka cechuje współczesnych badaczy...”. To prawda, jednak od współczesnego badacza historii oczekuje się czegoś więcej niż od konkwistadora czy kronikarza z XVI wieku. Powinien się on wykazać rzetelną narracją, z uwzględnieniem różnorodności zdarzeń i punktów widzenia. Tego w książce Tarczyńskiego brak. Posługując się jego logiką, da się z łatwością usprawiedliwić ludobójstwo prywatnej administracji króla Belgów Leopolda II w Kongu, eksterminację autochtonów tasmańskich przez Anglików, a także zakładanie obozów koncentracyjnych. Tyle że w ten sposób można osiągnąć granice schorzałego relatywizmu, w którym zbrodniarze i ofiary zamieniają się miejscami.

Niestety mankamenty tej książki nie kończą się na tendencyjności. Zawiera ona sporo błędów merytorycznych natury faktograficznej, przypadków mylnego rozumowania i jeden dziwoląg prawny. Ze względu na ograniczoną objętość recenzji wybrałem cztery przykłady błędów, choć jest ich więcej.

Na stronie 89 znajduje się przypis 11. Autor stara się w nim wytłumaczyć skrótowo funkcjonowanie kalendarza mezoamerykańskiego: „Ten rodzaj kalendarza był oparty na kombinacji czterech symboli (...) i trzynastu liczb, co w efekcie daje 52-letni cykl, po którym rachuba zaczyna się od nowa”. Zdanie to wskazuje, że autor nie do końca zna problem, który usiłuje wyjaśnić. Otóż mezoamerykańska rachuba czasu bazowała na dwóch sprzęgniętych kalendarzach: słonecznym (*haab*) i wróżbiarskim (*tzolk'in*). Kalendarz słoneczny składał się z 18 miesięcy po 20 dni i 5 dni dodatkowych, dając razem 365 dni. Kalendarz wróżbiarski składał się z 13 numerów i 20 nazw dni, czyli $13 \times 20 = 260$. Dni kalendarza wróżbiarskiego zestawiano w cztery grupy po pięć dni, zgodnie z mistyką punktów kardynalnych (cztery kierunki świata + centrum = 5). Otóż $260 \times 365 = 94\,900$ dni, zaś $94\,900 : 5 = 18\,980$ dni, czyli 52 lata słoneczne, składające się na mezoamerykański wiek. Rachunek matematyczny łączył się jednocześnie z cyklem Plejad, które pojawiają się na niebie co 52 lata. Na tym polega zsynchronizowanie kalendarza słonecznego z wróżbiarskim, układające się w 52-letni cykl, a nie, jak pisze Tarczyński, na kombinacji czterech symboli i 13 liczb. Te cztery symbole, to tzw. *cargadores del año*, czyli nazwy czterech dni z kalendarza *tzolk'in*, które nadawały nazwy poszczególnym latom.

Na stronie 159 autor książki twierdzi, że Alonso de Alvarado był jednym z braci Pedra de Alvarado, zdobywcy Gwatemali. Otóż jest to błąd. Konkwistadorzy ci nie byli braćmi. Pełne nazwisko pierwszego brzmiało: Alonso de Alvarado Montoya González de Cevallos y Miranda. Jego ojciec García López de Alvarado El Bueno miał tytuł Pana Voz y Rayz oraz był właścicielem wsi w Talamanca i Vilamor. Matka nazywała się Maria de Miranda. Zdobywca Gwatemali Pedro de Alvarado y Contreras był synem Gomeza de Alvarado y Mexia de Sandoval oraz Leonor de Contreras. Ród Alvarado był liczny i rozdzielił się na kilka linii. Pedro de Alvarado był wujem Alonsa. Błąd popełniony przez Tarczyńskiego nie jest dyskwalifikujący, ale wzięwszy pod uwagę, że autor ten w swych badaniach zajmuje się karierami hiszpańskich konkwistadorów (np. w książce pt. *Ruchliwość społeczna i geograficzna hiszpańskich konkwistadorów XVI wieku*) nie powinien się on zdarzyć.

Na stronie 92 autor pisze o walkach Hiszpanów z Tlaxkalanami: „Zmagania trwały dwa tygodnie, a z każdej potyczki Hiszpanie wychodzili zawsze zwycięsko, nie ponosząc nawet strat w ludziach (nie licząc ran niektórych żołnierzy).” W bibliografii prezentowanej na końcu książki Tarczyńskiego wymienione jest dzieło Bernala Díaza del Castillo pt. *Historia verdadera de la conquista de Nueva España*, które doczekało się nawet przekładu na język polski. Wydaje się, że autor omawianej książki czytał je bardzo pobieżnie. Otóż w polskim przekładzie, na stronie 162, Bernal Díaz powiada o tych starciach: „Brakło już około czterdziestu pięciu żołnierzy poległych w bitwie lub zmarłych od chorób i zimna. Dwunastu innych było chorych, a sam nasz wódz, Korteż, gorączkował”. Informacje Bernala Díaza są godne zaufania, bowiem brał on bezpośredni udział w tych walkach i nie miał powodów, by fałszować fakty. Z jego tekstu wynika, że w walkach z Majami-Chontal w Tabasco poległo siedmiu żołnierzy, zaś odliczając zmarłych od chorób można stwierdzić, że w bitwach z Tlaxkalanami zginęło około 20-30 Hiszpanów. Biorąc pod uwagę rannych i chorych oraz wyczerpującą się amunicję, sytuacja białych wcale nie była tak doskonała, jak wynika z książki Tarczyńskiego. Autor mówiąc o braku strat w ludziach po stronie hiszpańskiej popełnia kolejny błąd.

Na stronie 188 Tarczyński pisze: „...w początkach 1537 roku Quesada (...) wkroczył na płaskowyż (Bogoty) zamieszkiwany przez Czibczów, dotąd nieznaną Hiszpanom grupę etniczną”. W tym jednym zdaniu znalazły się aż cztery błędy. Chibchowie to przedstawiciele wielkiej rodziny językowej składającej się z licznych ludów, zamieszkujący terytoria siedmiu obecnych republik latynoamerykańskich, a nie jednej grupy etnicznej, jak twierdzi Tarczyński i na tym polega jego pierwszy błąd. Błąd drugi wynika z faktu, że autor niejako umiejscawia wszystkich Chibchów na płaskowyżu Bogoty. Błąd trzeci polega na tym, że Hiszpanie stykali się z ludami Chibcha od początków XVI wieku, a nie dopiero od 1537 roku. Poniżej zamieszczam zestawienie niektórych dat, nazwisk zdobywców i miejsc, gdzie doszło do interakcji z Indianami Chichcha:

Lata 1509 – 1513 rejon zatoki Uraba i Przesmyku Panamskiego – Alonso de Ojeda, Rodrigo Hernandez de Colmenares, Vasco Nunez de Balboa;

1510 – rejon Nombre de Dios – Diego de Nicuesa;

1519 – rejon Cocle – Gaspar de Espinosa;

1522 – Nicaragua i Costa Rica – Gil Gonzalez de Avila;

1525 – rejon Santa Marta – Rodrigo de Bastidas;

1533 – Pedro de Heredia rozpoczął podbój ludu Tairona w Sierra Nevada de Santa Marta etc.

W 1537 roku Gonzalo Jiménez de Quesada napotkał lud Muisca (obecnie wymarły) należący do rodziny językowej Chibcha, który stworzył wysoką cywilizację na płaskowyżu Bogoty. Nazwa Muisca nie pojawia się na kartach omawianej książki. Mówiąc o nieznanym Hiszpanom grupie etnicznej na wyżynie Bogoty, Tarczyński powinien wskazać na lud Muisca, co byłoby zgodne z prawdą historyczną. Niestety nie uczynił tego i to jest jego czwarty błąd w tym zdaniu.

Wypada teraz zająć się określeniem, które nazwałbym dziwolągami prawnym pojawiającym się w książce Tarczyńskiego. Autor posługuje się często określeniem „umowy o charakterze państwowo-prywatnym” (str. 17, 20 i inne). Otóż nie istnieje w prawie polskim, rzymskim, a jak sądzę także w innych systemach prawnych Europy takie pojęcie. Używając określenia „umowy o charakterze państwowo-prywatnym” Tarczyński płącze takie aspekty jak: rodzaje umów, kwestie własnościowe i prawo państwowe. To poplątanie pojęć wynika ze sposobu rozumowania autora przedstawionego na stronie 85: „Nie było to (...) przedsięwzięcie całkowicie prywatne wobec faktu, iż Cortesowi mieli towarzyszyć skarbnik i inspektor (...), a więc oficerowie reprezentujący Koronę i mający sprawować pieczę nad uzyskanymi kosztownościami”. Z tego zdania jawnie wynika, że autor obecność czynnika państwowego w postaci skarbnika czy inspektora uznaje za państwowy element umowy, zaś nabywcę prawa odkrywania nowych ziem i ich kolonizacji za czynnik prywatny, wobec tego mamy umowę państwowo-prywatną. Jest to niezwykle uproszczenie problemu, bowiem osoba prawna nadająca koncesję może być instytucją państwową, jak również innym podmiotem posiadającym osobowość prawną. Idąc tokiem rozumowania Tarczyńskiego należałoby założyć istnienie umów o charakterze prywatno-prywatnym i państwowo-państwowym, co jest niedorzecznością. W prawie polskim podobne umowy nazywają się umowami koncesji, umowami licencyjnymi, umowami zlecenia lub po prostu umowami cywilno-prawnymi. Kapitulacje Korony zawierane z dowódcami wypraw odkrywczych były z punktu widzenia prawa umowami koncesji. Polska literatura historyczna i prawnicza zna właściwe określenia dla umów i nie ma potrzeby tworzyć wyrażen neologicznych. Andrzej Tarczyński powinien zrozumieć i we właściwych proporcjach stosować „brzytwę Ockhama”: *entia non sunt multiplicanda praeter necessitatem*.

Reasumując można powiedzieć, że Andrzej Tarczyński napisał książkę przedstawiającą podbój Ameryki w krzywym zwierciadle (zapominając przy tym, że każdy podbój tworzą dwie strony a nie jedna), książkę obciążoną dodatkowo błędami, z których kilka przedstawiłem powyżej i napisaną dość monotonnym stylem. W książce tej jednak można dostrzec również i elementy pozytywne. Praca

Tarczyńskiego ma zaletę porządkującą wydarzenia. Poprawnie wymieniono daty i obszary działania poszczególnych konkwistadorów oraz praw koncesyjnych przez nich uzyskanych. Dobrze, że książka ta ukazała się na naszym rynku, bowiem przeciera ona drogę innym polskim historykom-amerykanistom lub archeologom, którzy dzieło Tarczyńskiego podejmą *sine ira et studio*.